

Żydzi reprezentują kulturę polską Czas skończyć z Pen-Clubem!

Nowa prowokacja żydowskich literatów

W sali Pen-Clubu Polskiego odbyło się wczoraj posiedzenie, na którym wybrano nowy zarząd Pen-Clubu. Są to: Breiter, Stonimski i Parandowski, dwóch żydów i jeden Polak od którego opinia publiczna od dawna domaga się zdecydowanego stanowiska w sprawie żydowskiej.

Niedawno społeczeństwo domagało się całkowitego ustąpienia z Pen-Clubu Stonimskiego i Parandowskiego. To jednak nie tylko, nie pomogło, ale widocznie pobudziło tych panów do jeszcze bardziej uzewnętrzniającej się pracy na tym terenie. Wybór tych właśnie trzech delegatów jest prowokacją i tylko tak należy to traktować.

Po przeprowadzeniu głosowania Alfred Łaszowski zgłosił wniosek domagając się zawieszenia wyboru ze względu na to, że żyd w żadnym wypadku nie może reprezentować kultury polskiej za granicą. Wniosek upadł przegłosowany przez żydów, którzy na zebraniu przeważali.

Wówczas p. Łaszowski stwierdził, że wybór jest jedynie demonstracją, gdyż literaci myślący narodowo nie pozwolą na wyjazd

żydów, jako reprezentantów kultury polskiej za granicę.

W jutrzejszym numerze zamieścimy artykuł Alfreda Łaszowskiego omawiający zarówno działalność żydowskiego Pen-Clubu jak i wybór nowego zarządu.

W okresie wzmożonej pracy żydowskich organizacji literackich, bardzo na czasie jest apel katowickiej „Kuźnicy”, który przytaczamy w podanym obok artykule.

Alma Oszczarska

Żyd wszędzie taki sam...

Mniejszościowe kłopoty kraju papryki i wina

Na wielkiej szybie wystawowej magazynu z ubraniami czy obuwiem w Budapeszcie można czasem zauważyć małą czerwoną lub różową nalepkę. Nalepka przedstawia zawsze głowę żyda — obok niej napis: „Czy to jest pisarz żydowski?” albo „Nie kupuj u żyda” itp.

Literki napisu są drobnofutkie, cała nalepka wygląda jak bilet tramwajowy i niejedną przechodnię jej nie zauważył. Rozmiar tego antyżydowskiego „protestu” są symboliczne...

Gdy zapytałam pewnego węgierskiego dygnitarza o kwestię żydowską na Węgrzech wyjaśnił:

— Żydów mamy stosunkowo niewiele, bo 5 procent ogółu ludności. Mimo to jednak dają się nam we znaki bardziej niż w jakimkolwiek innym kraju. Wy w Polsce macie żydów dużo, ale to są żydzi biedni (!? — przyp. red.). Nasi żydzi węgierscy — to magnaci, którzy opanowali niemal w stu procentach cały wielki kapitał. Żydzi rządzą giełdą i bankami, kasami oszczędności i przemysłem. Handel jest niemal w 90 procentach żydowski. Proszę przyjrzeć się uważnie wielkim magnatom na głównych ulicach Budapesztu. Olsztyń mi największy w Budapeszcie dom towarowy „Corvin” należy do żydów, żydowskie są wszystkie

zamożniejsze sklepy z materiałami, wyrobami skórzanymi, obuwiem, konfekcją, kapelusznymi itd. itd. Tylko handel spożywczy utrzymuje się w większości w rękach węgierskich. A o wszelkim hurcie, to już nie ma co mówić. Sami żydzi. Prasa — wszystkie większe dzienniki Budapesztu są również opanowane przez nich. Jakże więc prowadzić w tych warunkach energiczną akcję bojkotową? Nacjonaliści wypuszczają ot takie skromne nalepki, i to wszystko, co narazie mogą zrobić. Żeby prowadzić prawdziwą walkę z żydami trzeba mieć przede wszystkim własne podstawy finansowe na unarodowienie handlu i przemysłu — a to znowu w naszych warunkach politycznych jest teraz prawie nie do pomyslenia. Narazie możemy tylko manifestować naszą niechęć do żydów i omijać w miarę możliwości sklepy żydowskie. Oni przecież po pierają tylko swoich...

Tak. Żydzi na całym świecie są jednakowi. Zdarzyło się pewnego wieczoru, że staliśmy gromadką na rogu ulicy i studiowaliśmy plan miasta w świetle ulicznej latarni.

Podszedł do nas jakiś mężczyzna i zapytał uprzejmie, czego szukamy. Wyjaśniliśmy, że chcemy pójść do jakiejś typowej węgierskiej winiarni posłuchać cygańskiej muzyki i napić się wina.

— Chętnie zaprowadzę państwa — idę właśnie w tamtą stronę — zaofiarował się usłużnie.

Idziemy. Mijamy przesłanice oświetloną olbrzymią kawiarnię Ostenda, gdzie jak dowiedzieliśmy się później grywa sławny zespół 30 cygańskich dzieci. Dalej wytworny lokal restauracyjny znanego hotelu, znowu elegancka winiarnia z tarasem na świeżym

Zespół literacki „Kuźnicy”

nawołuje do tworzenia kultury narodowej

Członkowie zespołu literackiego „Kuźnicy” na jeździe literackiej w Katowicach w dn. 7 b. m. uchwalili następujący program swej działalności:

1. Naród Polski w obecnym układzie sił ideowo — politycznych ma do spełnienia misję dziejową, która może być zrealizowana jedynie w oparciu o jednolitą, ideowo zwartą, wolną od obcych nam duchowo pierwiastków kulturę narodową.

Tworzenie tej kultury jest powołaniem młodego pokolenia, zjednoczonego ideą nowego nacjonalizmu polskiego.

Zespół literacki „Kuźnica” uważa za rzecz zasadniczego znaczenia zbliżenie Polski do narodów słowiańskich i nawiązanie ścisłej łączności z ich kulturą duchową. Jednym z najbliższych zadań polskiej polityki kulturalnej jest systematyczne szerzenie w społeczeństwie znajomości dorobku kulturalnego innych narodów słowiańskich z równoczesnym propagowaniem wśród tych narodów zdobyczy kulturalnych Polski. Na tym bowiem podłożu dokonać się winno zespolenie narodów słowiańskich do pracy nad realizacją wspólnej idei i zadań kulturalnych słowiańszczyzny.

3. Dążąc do stworzenia jednolitej kultury narodowej, która będzie pełnym wyrazem ducha najszerszych mas narodu, i wobec przejęcia kierownictwa duchowego w sprawach kultury przez grupy nie reprezentujące ducha polskiego, stwierdzamy konieczność powołania do życia organizacji, skupiającej wszystkich narodowo myślących literatów celem nawiązania do tradycji kulturalnych Polski i stworzenia dla młodego pokolenia pisarzy warunków pracy i rozwoju.

Tworząc tego rodzaju organizację na Śląsku, wzywamy inne ośrodki do zorganizowania podobnych stowarzyszeń i nawiązania współpracy.

4. Tworzenie jednolitej kultury narodowej oprócz się musi z jednej strony o te wartości kultury polskiej, w których przejawia się psychika i geniusz narodu polskiego, a z drugiej strony o wartości kulturalne regionów. W myśl tych założeń Zespół Literacki „Kuźnica” zmierza do wydobycia z regionu Śląska i ziem sąsiednich tych twórczych wartości kulturalnych, które stanowiłyby trwałą i cenną wkład do skarba kultury całego Narodu.

Najwyższy czas na założenie instytucji skupiających wszystkich narodowo myślących literatów, aby związana organizacyjnie pracę przeciwstawić rozpanoszonej bezkarnie „literaturze” Aeschelows, Tuwimów, Kridłów itp. Jesteśmy przekonani, że zewrzucony przez „Kuźnicę” nie przejdzie bez echa.

Zbacznicwa...

PO CO TŁUMACZ?

Odbył się ostatnio kongres Bundu.

Kongres, jak to zwykle, wzywał, żeby wszyscy proletariusze łączyli się pod komendą żydów. Psłoczyć dalej na fałszywym, nacjonalizm i narodową Hiszpanię.

Jednym słowem, stara piosenka.

Ale momentem ciekawym, była transmisja telefoniczna przemówienia prezesa II między narodówki, jakiegoś de? Brückera.

Ciekawe dlatego, że p. Brücker przemawiał po francusku, a przemówienie jego było dopiero tłumaczone na żargon.

Nie wiem jakiej p. de? Brücker jest narodowości, Francuza jakoś to nazwisko nie przypomina pomimo tego „de”. Ale to, że prezes II między narodówki nie zna żargonu to skandal, jak można było dopuścić do takiego zaniedbania.

Jak trudno jest p. Brückero wi urzędować bez znajomości żargonu. Przecież prawie wszyscy koledzy i przyjaciele, specje od socjalizmu to wszystko od naszych.

A jakim cudem wybrano na stanowisko prezesa II między narodówki kogoś z tak wielkim felerem.

Napewno p. Brücker dostał już monit i polecenie żeby się nauczył tego języka.

Bo jakże tak można. Brak podstawowych kwalifikacji. A może p. de Brücker zna dobrze żargon. Może tylko nau myślnie przemawiał po francusku.

Po co zaraz goje mają wiedzieć, że i prezes też od naszych?

B. REZA

Kursy języka portugalskiego

Wobec licznych zapytań nadchodzących z prowincji, Izba Handlowa Polsko - Łacińsko - Amerykańska w Warszawie komunikuje, że wkrótce przystąpi do otwarcia korespondencyjnych kursów języka portugalskiego. Informacji w tej sprawie udziela i zgłoszenia przyjmuje Sekretariat Izby Handlowej P. Ł. A. przy ulicy Mokotowskiej 12 m. l., telefon 9-22-90.

ZNANA SOL MORSZYŃSKA jest także w sprzedaży w paczkach na jednorazowe przeczyszczenie. Cena 20 gr. Zadać w aptekach i składach aptecznych

JERZY MARIUSZ TAYLOR

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

Po co mieli się uczyć języka polskiego, skoro nawet najwyższe władze pisały do nich po niemiecku? Ten przywilej królewski, co go otrzymał stary Kurt Ernin, pięknymi literami na pergaminie, także przecież rozpoczynał się od słów, dobrze wszystkim zrozumiałych: „Wir August der Zweite, von Gottes Gnaden Koenig von Pohlen, Grossfuerst von Lithuanien etc. etc.”.

Mógł August der Zweite, ale jego pergamin istniał wciąż jeszcze, tak świeży, jakby wczoraj zaledwie wyszedł z rąk pisarzy królewskich. Każdy, kto wszedł do dużego pokoju „gościnnego” starej sadyby Wilhelma Ernina, musiał zobaczyć go od razu, bo wisiał na wprost drzwi, w szerokiej ramie dębowej, dostojny przepychem złożonych liter gotyckich i czerwienią wielkich woskowych pieczęci. Wilhelm Ernin lubił się nim chlubić wobec obcych, ale w dawnych czasach zdarzało mu się to dość rzadko. Któż tam z obcych kiedy zaglądał na Groblę, kiedy dostęp od strony łądu utrudniały rozległe moczary. W ostatnich latach zmieniło się to jednak, bo Wilhelm Ernin, mając na względzie dobro całej kolonii, ale przede wszystkim dobro swego młyna, własnym kosztem zaczął zbudować drogę do szosy.

Wydał na to huk pieniędzy, ale po upływie kilku lat droga usypana na błocie stała się piękną, cieniastą aleją.

Teraz Wilhelm Ernin lubił wracać tędy do kolonii. Jadąc wygodną bryczką, w mafego, ale dobrze wyposażonego konika i pokrzykując ostro na powożące parobka Ruprechta, rozglądał się dokoła z przyjemnością. Ruprecht co prawda psuł mu trochę tę przyjemność, bo powoził źle i był mało pojętny, wprost głupawy. Wilhelm Ernin przyjął go tylko z li-

tości dla jego matki biednej Elzy Krebs, co mleko gospodarskie nosiła na sprzedaż do bliskiego miasteczka. Ruprecht pensji nie brał żadnej, ale miał życie i kąć do spania, no i uczył się młynarstwa. To chyba wystarczyło, aby móc powiedzieć, że się spełniło dobry uczynek.

Moczary wzdłuż drogi pracą wielu lat udało się odwodnić i zamienić częściowo na uprawne grunty. Tam i ówdzie złocono się tu teraz w lecie zboże, gdzie niegdzie widniała soczysta zieleń łączki, po której, szczypiąc od niechcenia trawę, przechadzało się dostojnie stadko białych gęsi. Dalej warowny trójką Grobli czerwieniły się dachami, krytymi pięknie wypaloną karpiówką, nieco na uboczu rozsiadł się masywny budynek szkoły, a ponad wszystkimi domostwami wystrzelała w górę smukła wieżyczka kaplicy, do której przyluliła się mała plebanijka pastora, zatopiona w gęstwinie bżów i jasmínów.

Ale najczęściej pociągała wzrok sadyba Erninów. Tu dopiero widziało się prawdziwy dostatek, odziedziczony po przodkach i pomnożony własną pracą. Stary młyn, podtrzymywany pieczętowanie, pracował wciąż jeszcze na tym samym miejscu, gdzie zbudował go Kurt Ernin, nad potokiem, który nosił nazwę Dunaju. Mała ta, ale wartka rzeczka, wpadająca pod Groblę do Wisły, płynęła aż z Teresinka — pięknej rezydencji książąt Ostrogińskich.

— Ładne to wszystko jakby jakiś obrazek. Żadna wieś polska nie dorówna naszej kolonii — mawiał w duchu Wilhelm Ernin z poczuciem syty dumy, jaką daje widok własnego bogactwa i świadomość, że to bogactwo przyczyniło się do zamieszkania wspólnoty.

No, bo tak było przecież. Ten Chrystian Bauer, co miał pięknie, kiedyś klepał biedę, a teraz po kilk latach uciął sobie niezgorzany kapitał. Ta wdowa po Kleinie Rudolfe, właścicielka sklepu spożywczego, po śmierci męża nie wychowywała swojej płątki dzieci, gdyby nie pożyczka Wilhelma Ernina, która pomogła jej przetrwać ciężki czas i nawet dorobić się trochę.

Wszyscy mieszkańcy Grobli zawdzięczali coś Erninowi i narzekać na niego nikt nie miał prawa. Nie narzekał i Er-

nin. Żył w dobrej zgodzie ze wszystkimi, ale przyjaźnił się naprawdę tylko z pastorem, no i z tamtym dawnym nauczycielem. Szczególnie po śmierci nieodżałowanej „Mutterchen” prawie co wieczór szedł Wilhelm Ernin na plebanie. W ślad za nim zjawiał się nauczyciel i we czworo, z pastorem i pastora, dwójmiej wesołych, bezzdielnych staruszków, gawędzili całymi godzinami przy kominku w zimie, albo na ganku w lecie. Często też pastora zapalała duża naftowa lampę z pięknym abażurem, wyjmowała karty i towarzystwo ucinęło sobie partyjkę. Grali w „Sechs und Sechzig”, w wista albo w preferans, takie stare, pocziwe, dobre gry.

Teraz to się rozchwiało, bo tamtego dawnego nauczyciela już nie było. No, stary już był — trzy pokolenia uczył przecież, a to nie fraszka. Ubiegłego roku właśnie, tak jakoś na Boże Narodzenie, dostał zapalenia płuc i umarł, nieboraczek. Nie wiedzieli skąd wziąć nowego, więc po namyśle rozpisali konkurs i ogłosili to w łódzkiej gazecie niemieckiej, którą abonował Ernin. Zjawił się jeden, przedstawił papiery, z których wynikało niezbitie, że nazywa się Zygfryd Johnke, że urodził się w Pahljanicach i że ukończył gimnazjum i uniwersytet w Warszawie, a potem jeszcze studiował w Berlinie, gdzie uzyskał doktorat literatury.

Wszyscy aż usta rozdziawili z podziwu nad tymi kwalifikacjami, ale na ogół cieszyli się, że się taki trafik. Ba! — ogadywali nawet, że ten dawny ani mógł się równać z nowym. Tylko stary Wilhelm Ernin kiwał głową. Jemu wysokie kwalifikacje kandydata wydały się po prostu podejrzane. Taki uczony mógł przecież zarabiać dobrze, gdzie chciał. Po co się pchał na taką nędzną posadkę. Coś w tym chyba musiało być. Pod wpływem opinii jednak, głównie zaś kierując się zdaniem pastora, który nie wiedzieć dlaczego od razu jakoś nabrał sympatii do nikomu nieznanego przybysza, młynarz ustąpił i nowy nauczyciel, po dopełnieniu wszelkich formalności urzędowych, przystąpił do pełnienia swoich obowiązków. Przedtem jednak jeszcze sprawił wszystkim taką niespodziankę, która podejrzliwemu młynarzowi dała jeszcze więcej do myślenia.

(D. c. n.).

Wielkie pranie



Zabrudzone przy zabawie i następnie wykąpane pieści schną zawieszane w skarpetkach